Nr. 15. Lwów, dnia 20. Maja 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** zlr., półrocznie **3** zlr. kwartalnie **1** zł. **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Sk.

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*“ **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie:** każdego 1 go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

XVIII.

Właśnie gdy się śniadanie kończyło, a dzieci drżąc z niecierpliwości wybierały się już z powrotem do ogrodu, w garderobie odezwał się dzwonek. Był to znak, dany przez panią domu, że się zbudziła i chce wstawać. Domownicy oddawna sobie nie przypominali, by pani kiedy o tej godzinie dzwoniła, chyba że była chora. Dziś czyniła to dla tego, że na obiad miała matka przyjechać, należało więc ubrać się prędzej, niż zwykle, przytem staranniej i wyjść choć kilkaset kroków na jej spotkanie. Wszak matki, która ją ubóstwiała, nie widziała od tak dawna!

Ukończyła nareszcie toaletę, wypiła czekoladę, tym razem w swojej sypialni i w sukni jedwabnej, wyświeżona, woniejąca, piękniejsza niż zwykle, zjawiła się w pokoju męża, który właśnie gotował się do drogi.

— Dzień dobry ci, Henryku!

— Dzień dobry — odrzekł sucho i zbliżywszy się, w rękę ją pocałował.

— Nie wiesz gdzie są dzieci? — zapytała.

— Zapewne w ogrodzie z Antosią.

— Biedna dziewczyna tak się pali na tem słońcu, że mi doprawdy aż żal jej!

— I mnie — mąż z westchnieniem potwierdził.

— Skoro jej żałujesz, to czemu nie pozwoliłeś wziąć bony do dzieci?

— Bo nas moja duszko, nie stać na to.

— Prawda, że nas na nic nie stać — odrzekła, z pokoju wychodząc. Chciała przez salon udać się do ogrodu, lecz jeszcze się wróciła by zapytać: — Pojedziesz Henryku po mamę?

— Właśnie się zbieram.

— A przyjedziesz?.

— Najpóźniej, zdaje mi się, kolo w pół do drugiej, gdyż przed dwunastą pociąg przychodzi.

— Ucałuj mamy rączki odemnie.

— Z przyjemnością.

— Do widzenia, Henryku!

— Do widzenia, Eleonoro!

Rozłączyli się, nie spojrzawszy na siebie. On wyszedł na podwórze, gdzie już kareta zaprzężona czekała, ona udała się do ogrodu.

Po ścieżkach z krzykiem i śmiechem biegały dzieci, usilując ciotkę złapać, która sama jak dziecko, przed niemi uciekała. Pani Eleonora ku nim się zwróciła.

— Antosiu, daj pokój i nie męcz się — przemówiła. — Ty się tak nie szanujesz i na słońcu poniewierasz, że mama gotowa pomyśleć, iż rozmyślnie obróciłam cię na bonę lub na pannę służącą

— Nie lękaj się tego, Eluniu. Mama z pewnością nie zwróci na to uwagi.

— Tak sądzisz? Zobaczymy... Przebierzesz się jeszcze, Antosiu?

— Ja? Ani myślę.

— Wszak mama przyjeżdża.

— Alboż ta sukienka nie jest przyzwoita?

— Przyzwoita, nie przeczę, lecz nie dość uroczysta. Mama jest przecie bardzo uważająca, gotowa to więc wziąć jak najgorzej i mieć z tego powodu nowy żal do ciebie.

— Moja Elunciu, ja mamy dla siebie niczem korzystniej nie usposobię, a już najmniej suknią. Zresztą znając mnie, wiesz jak jestem przeciwną zimnej etykiecie między krewnymi, zwłaszcza tak bliskimi, jak my z mamą jesteśmy, lecz jeżeli chcesz koniecznie bym się przebrała, zaraz to uczynię i mimo kanikuły, na którą się zanosi, ubiorę się nawet w jedwabie.

— Zrób to, zrób, Antosiu.

— Ależ najchętniej, skoro ci to ma przyjemność sprawić.

Matka teraz dopiero zobaczyła swoje dzieci. Pozwoliła się im w rękę pocałować, pogłaskała oboje po twarzyczkach i czołach, przyczem uwagę zrobiła, że są bardzo spocone. potem wziąwszy je z sobą poszła do altany dzikiem winem okrytej, która znajdowała się w samym końcu ogrodu, na dość znacznem podwyższeniu. Z niej roztaczał się szeroki i piękny widok na jezioro, Ujście Leśne i dalsze wioski.

Tu, na laweczce usiadłszy, zaczęła im tłumaczyć długo i szeroko a poważnie, co to jest babcia, jak się powinno ją kochać, a jak należy jej słuchać, gdyż babcia, chociaż bardzo dobra, nie lubi dzieci niegrzecznych. Jancia, stojąc tuż przy matce, bawiła się frendzlą jedwabną jej sukni, chłopczyk zaś założywszy w tył ręce, patrzył na mówiącą z wielką ciekawością, jakby spodziewał się usłyszeć coś nowego a przyjemnego.

Matka jeszcze nie skończyła, gdy dzieci zaczęły już kręcić się, obracać i ku temu miejscu spojrzenia wysyłać, gdzie taczki z łopatkami zostawiły. Zauważywszy to, rzekła z ciężkiem westchnieniem:

— Szkoda słów dla was.. Idźcie, idźcie, tylko pamiętajcie, że jak babcia przyjedzie, to trzeba ją ładnie w rączkę pocałować.

Dzieci uszczęśliwione puściły się w głąb ogrodu, zostawiając matkę samą w altanie.

O pół do pierwszej z południa, gdy skwar był największy, pani Eleonora osądziła, że nie tylko ona i siostra, lecz także wszystkie dzieci, powinne wyjść na spotkanie babci. Dzieci przyjęły to bardzo dobrze, wszelako Antosia ośmieliła się zrobić uwagę, że taka wycieczka będzie może dla nich zanadto uciążliwa. Na to odpowiedziała pani Eleonora:

— Pójdziemy ścieżką polną do lasu, i tam siedząc na nich poczekamy.

— Jeżli tak to dobrze — Antosia odrzekła i pobiegła do piastunki aby ją o tem uwiadomić.

Niedługo potem, Jańcia i Stasio, za rączki się trzymając, dryptały przodem w kapeluszykach słomianych z szerokiemi skrzydłami; za niemi postępowała piastunka pod parasolem, z Sabinką na ręku, ustrojoną w tiule i muśliny; na końcu szły matka i ciotka tego pokolenia.

Antosia miała suknię jedwabną, w której jednak musiało jej być gorąco i nieprzyjemnie, skoro zazwyczaj blada jej twarzyczka, mocno teraz poczerwieniała. Na głowie miała kapelusz słomiany, bez woalki, w ręce trzymala parasolkę.

Pani Eleonora, w kostjumie jedwabnym według ostatniej mody, w drogich kulcach, z niebieskim szalikiem na szyi, w którym tkwiła brosza, kupiona jej przez matkę na ślubny podarek, i z jedwabną iluzją barwy śmietankowej, co przepasywała jej czoło poniżej okrągłego kapelusika, wyglądała jak dama wielko-światowa, spiesząca na przechadzkę do publicznego ogrodu, nie jak szlachcianka wiejska, która szła z dziećmi przez pola do lasu. I aby całość była zupełna a niezwykła, wzięla parasolkę z epoki cesarzowej Eugenji, tak zwaną *en-tout-cas,* niebieskim jedwabiem podbitą, na którego tle jasnem jej główna cudownie się rysowała.

Minęły pole i przeszedłszy lasek, pousiadały na jego krawędzi, tuż przy szosie. Niedługo trwało, a ukazał się wóz czterokonny, naładowany kuframi, koszami i pudłami, z których utworzyła się na nim formalna góra. Antosia uśmiechnęla się nieznacznie tak, że siostra tego nie dostrzegła.

— Już jadą, jadą! — zawołała.

— Jadą? — powtórzyła pani Eleonora.

— Tak jest, to rzeczy mamy. Ja sama poradziłam Henrykowi, żeby duży wóz wziął z sobą.

— Biedna mama! Ile ona musiała mieć subjekcji z tyloma pakunkami — zauważyła siostra, z ziemi się podnosząc.

Postąpiwszy kilka kroków, stanęła pod dużą sosną, co rosła na samym kraju lasu, niedaleko szosy, oparła się o nią, prawą rękę do serca przyłożyła, by hamować silniejsze jego uderzenia, lewą przytrzymywała parasolkę, co przez ramię jej się zwieszając, utworzyła za jej głową, duże a jasne koło. W tej pozycji, nieco naprzód wysunięta, z oczyma ciekawie w ten punkt skierowanemi, gdzie wkrótce spodziewala się karetę zobaczyć, oczekiwala matki przyjazdu.

Gdy ich wóz mijał, Staś poznawszy tego, co konie prowadził, zaczął wołać:

— Walet! Walet!

Walek zdjął kapelusz uśmiechając się z zadowoleniem.

— Państwo jeszcze daleko? — Antosia go zapytała.

— Co jeno nie widać. Przystanęli trochę przed cukiernią, żeby coś kupić.

Jakby na potwierdzenie tych słów, za lasem zaturkotało, i w tejże chwili na szosie ukazala się kareta, pędząca jak lokomotywa.

Między czekającymi ucichło; nikt ust nie otwierał. Wszyscy spoglądali na drogę. Pani Eleonora nie opuszczała swego stanowiska, dzieci bezwiednie przybiegły do ciotki, by uchwycić się jej sukienki, piastunka oczy wytrzeszczała. Kareta zaczęła toczyć się coraz wolniej, nareszcie stanęła. Dopiero teraz cała gromadka ku szosie ruszyła.

Tymczasem z karety wysiadła dama w lekkiej żałobie, trzymając w jednej ręce małego kudłatego pieska, w drugiej pakiecik białym papierem osłonięty. Tuż za nią, skowycząc i szczekając, wyskoczyły dwa pieski, jeden całkiem goły, a tylko z czóbkiem na głowie, drugi jakiś mięszaniec bez rasy wybitnej i na końcu ukazał się sam p. Miliński.

Dama wysiadlszy, zwróciła się najpierw ku niemu i pieska mu podając, rzekła prędko:

— Henryku! potrzymaj chwileczkę moją *Lalunię*.

Potem ku tym, co na jej spotkanie spieszyli, ręce wyciągnąwszy, krzyknęła donośnym głosem:

— Moje dzieci! Moje drogie dzieci! Jużem was tyle lat nie widziała — a takem się za wami stęskniła, że bez was dłużej żyć bym nie mogła! Eluńciu! moja Eluńciu! — dodała starszą córkę za szyję obejmując — jakaś ty zawsze ładna! prześliczna! cudowna! Ja ciebie już oddawna podziwiała, bo chociaż z ciągłego płaczu wzrok mi trochę osłabł, mimo to jak kareta z za lasu wyjechała, serce zaraz mi powiedziało, że to zjawisko nadziemskie, to moja Eluńcia! to moje dziecko najdroższe!

Tu po raz drugi objęła córkę za szyję, by ją znowu ucałować. Podczas tego przywitania, któremu akompanjowały głosy trzech piesków zawzięcie ujadających, Antosia z dziećmi stała na boku. Jańcia i Stasio wyglądały jakby wystraszone. Dopiero gdy matka nacieszywszy się do syta swoją „jedynaczką“ puściła wzrok w koło, by się przekonać, czy jest tu jeszcze kto więcej, młodsza córka zbliżyła się i w rękę ją pocałowała.

— A to ty, Antosiu! Jak się masz!

Z temi słowy pochyliła się nad nią, by przelotnie dotknąć się ustami jej czoła. Potem na dzieci patrząc, znowu krzyknęła:

— To twoje aniołki Eluńciu! Prześliczne! cudowne! Ta starsza zapewne dziewczynka, aha! Jańcia, a ten, to Staś! Śliczotki, jakby ci Eluńciu z oka wypadły! Pójdźcie aniołki tu do mnie, do babciuni! Oto cukierki, którem właśnie kupiła, bo tyle miałam na wyjezdnem kłopotów, żem o nich w domu całkiem zapomniała. Pójdźcie aniołki do babciuni.

Tak przemawiając, wyciągnęła ku nim rękę z białym pakietem. Ale mimo ponętnej zachęty, dzieci jakoś nie ruszały się z miejsca. Przeciwnie tak jedno, jak drugie, spoglądało na babkę z pewnem niedowierzaniem. Dopiero gdy oboje rodzice i ciotka z naciskiem im powiedzieli, że babcię należy w rączkę pocałować, zwolna a ostrożnie do niej się zbliżyły. Wzięła najpierw dziewczynkę, potem chłopca na ręce i z okrzykiem entuzjastycznym każde głośno pocałowała. Gdy dzieci znowu znalazły się na ziemi, wtedy piastunka osądziwszy, że babcia powinna by choć teraz zwrócić uwagę na ostatnią swoją wnuczkę, wysunęła się z nią na pierwszy plan. Babka widząc to, krzyknęła:

— To najmniejsze, to ponoś Sabinka! Śliczne bobo! Prześliczne! Tyle tu dzieci, żem o niej całkiem zapomniała. Pójdź tu mała i daj babci buzi.

Chciała ją wziąć na ręce, dziecko jednak załamało usteczka i odwróciwszy się, krzyczeć zaczęło.

— Niech się mama nie dziwi, ona u nas tak mało obcych twarzy widuje, że się nie mogła do nich przyzwyczaić — usprawiedliwiała pani Eleonora swoją córkę najmłodszą.

— Ach! mnie to bynajmniej nie dziwi. Małe dziecko nie wie kogo kochać, to jeszcze nie człowiek, to zwierzątko.

P. Miliński, który dotąd ust nie otworzył, odchrząknął w tem miejscu. To zwróciło nań uwagę teściowej, która obróciwszy się, prędko zagadała:

— Daj mi drogi syńciu *Laluńcię*, bo ja z memi dziećmi pójdę pieszo. Wszak to zapewne wasz dom, ten czerwony, nad jeziorem.

— Tak jest mamo — Antosia potwierdziła.

— Skoro panie pieszo pójdziecie — p. Henryk przemówił — więc chyba ja sam naprzód pojadę, by kazać do objadu przygotować.

— I my z tatusiem! — dzieci jak na komendę zawołały.

— Jańciu! Stasiu! Trzeba iść razem — matka poważnie przemówiła. — Przecie babcia przyjechała.

Dzieci zasępiwszy twarzyczki, odstąpiły od karety, do której wsiadł sam tylko ojciec i trzymając się cioci Antosi, poszły za matką i babcią.

Hrabina była wzrostu słusznego, silnej budowy, ani szczupła, ani zbyt otyła, nie stara jeszcze, czerwona, w ruchach zwinna. Mówiła głośno a tak chętnie, że nawet nie żądała by jej kto odpowiadał. Idąc teraz, ani na chwilę nie spoczęła.

— Nie byłabym dała wiary, Eluńciu, że tu taka piękna okolica — mówiła w koło się rozglądając. — To jezioro jest doprawdy imponujące, kościółek tam, na pagórku, wygląda bardzo poetycznie, a ów pałac po drugiej stronie jeziora, to niby jaki zamek zaczarowany. To tam zapewne mieszka ów hrabia, o którym wspominałaś mi w ostatnim liście.

— Tak jest, tam.. To jest Ujście Leśne, a owa wieś na lewo, to Komarowo.

— Przyzwoita okolica, wcale przyzwoita! szkoda tylko, że jak to wiem z twoich listów, nigdzie nie bywacie... Zważ przecie moja Eluńciu, że tak

żyjąc, można zdziczeć. Wszak ludzie ludzi potrzebują.. zresztą kto tyle co ty posiada talentów i przymiotów towarzyskich, ten powinien dać się poznać, żeby był ocenianym, uwielbianym!

— Trudna rada, mamo. Henryk nigdzie nie bywa, bo nie lubi, zresztą w całej Wielkopolsce tak się mało udzielają.

— To bardzo źle, moje dziecko! Muszę wpłynąć na Henryka, żeby choć teraz od swojej zasady odstąpił, bo przecie nie na tom cię kształciła w Dreźnie i w Paryżu, byś dziś żyła jak pustelnica. Bez towarzystwa człowiek chropowacieje. Nie płączcie się dzieci! — nagle krzyknęła tonem tak niecierpliwym, że Jańcia i Staś, które przypadkiem przed nią się znalazły, odskoczyły jak oparzone. — Z ludźmi trzeba więc żyć. trzeba się udzielać — dalej mówiła. — Nieboszczyk mój mąż był pod tym względem tak rozumnym, że mu równego trudno było znaleźć. Rzadki to był człowiek! Pełen szlachetności, a jaki delikatny!

Tu hrabina podniosła chustkę do ócz, w których łzy się ukazały, przyczem jej koniec nosa poczerwieniał. Córki znając jej boleść, szły z głowami zwieszonemi.

Dzieci trzymały się w przyzwoitem oddaleniu i tylko wysyłały ku babce zaniepokojone spojrzenia. Piastunka zachmurzona, ciągle swoją pannę tak trzymała, by ta babki nie widziała. Tylko *Pinio i Finio*, z ogonkami fantastycznie zadartemi, biegły przodem wesoło naszczekując.

Gdy towarzystwo doszło do domu, służba wynosiła już na pierwsze piętro, gdzie hrabina miała mieszkać, ostatnie jej kufry. Wszystkie one były na potężne kłódki pozamykane, i na każdym, tak u góry, jak po bokach, widać było dwie monogramy z dziewięciopałkowemi koronami.

Po wesołym objeździe, p. Miliński poszedł do gospodarstwa, panie zaś udały się do ogrodu, gdzie rozpoczęła się pogadanka swobodna, przeplatana śmiechem i częstemi wykrzyknikami. Wprawdzie jak przed tem, tak i teraz rej wiodła hrabina, lecz obok tego, pani Eleonora mówiła także więcej niż kiedykolwiek, i tylko jedna Antosia rzadko się odzywała. I ktoby teraz zobaczył panią domu uśmiechniętą, promieniejącą, i ktoby posłuchał jej rozmowy ożywionej, ten by w niej nie poznał tej samej pani Eleonory, która przez sześć lat była ciągle poważna, zamyślona, prawie smutna.

Służba, od przyjazdu hrabiny, aż do późnej nocy, coś po kątach szeptała, dzieci zaś zapewne dla tego, że cioci przy nich nie było, nie miały humoru i mało się bawiły. Gdy wieczorem wcześniej niż zwykle, pacierz zmówiwszy, do snu się układały, piastunka, która dotąd była zachmurzona, aby ulżyć swemu sercu, stanąwszy przed łóżeczkiem Jańci, zapytała:

— Jańciu, kochasz ty babcię?

— Eee! — odrzekło dziecko, do ściany się obracając.

— A przecie ona cukierki wam przywiozła.

Jańcia udawała że spi.

— A ty, Stasiu, kochasz babcię? — zwróciła się piastunka z zapytaniem do chłopczyka.

— Ja tiocham ciocię Tosię — odrzekł rezolutnie.

— A ja ciocię Tosię i tatusia! — Jańcia zawołała i w tejże chwili nakryła się kołderką.

Odtąd napróżno piastunka usiłowała z dzieci więcej wydobyć. Mimo próśb, uporczywie milczały i wkrótce usnęły.

(Ciąg dalszy nastąpi)

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Przed trzema miesiącami pan Vaugenis onieśmielał ją cokolwiek swoją sztywną powagą i zyzem okolicznościowym którym zarzucał kiedy mu właśnie był na rękę. Powitała go trochę zmięszana, on ją atoli prędko uspokoił. Nie było pani de Moisieux, nie potrzebywał więc przybierać tonu urzędowego

- Prosiła o roztrzygnienie kwestji spornej; on roześmiał się na to:

— Oh! nie jesteśmy takimi rygorystami! Pewien ojciec kościoła, rzekł raz do człowieka nie lubiącego postów: — „Zjedz choćby woła całego, ale bądź chrześćjaninem.“ — Ja pani powiem: — „Odwidzaj matkę Amelję, kiedy zechcesz, byłeś dla tego nie zaniedbywała obowiązków światowych“. Jednym zaś z tych z obowiązków, jest dotrzymywanie słowa danego, a pani swojego nie dotrzymałaś. Przyrzekłaś pani radzić się mnie przed każdem ważnem postanowieniem, tymczasem powiedział mi tu kiedyś twój opiekun, chcąc mnie przeciągnąć na swoją stronę, żeś odrzuciła świetną partję, mnie o tem nie uprzedzając.

— Czy byłbyś mi pan radził przyjąć propozycję, powiedziawszy mi przed tem: „Strzeż się?“

— Co i dziś powtarzam. Zapowiedziałem też z góry panu Cantarel, żeby na mnie wcale nie liczył... Hm! kto wie?... Może i my mamy kogoś?...

— I pan, i pan także? — wykrzyknęła tak przerażona, iż na nowo śmiechem wybuchnął.

— Oh! uspokój się pani, chciałem się tylko trochę podroczyć. Twój dziadek Antoni, który lubił uszczęśliwiać ludzi, nie pytając ich czy na to przystają, był by był uradowany, gdyby cię mógł był wydać za mąż. Na szczęście znajdywał, iż nie ma na świecie mężczyzny, który byłby ciebie godzien. Panien Vaugenis nie cenił już tak wysoko i nam na kark spadł cały pasztet... Ot! skoro mam przyjemność panią widzieć u siebie, opowiem ci tę całą historję. W kwestjach podobnych najlepszym sędzią jest młoda panienka, jeżeli rzecz naturalna nie ma w tem własnego interesu... Było nas niegdyś trzech przyjaciół nie-

rozłącznych, twój dziadek, boga ty industrjel pan Valport, i ja, pani najniższy sługa. Biedny, kochany Valport, pojechał pierwszy... zostawiając synowi jedynemu coś około trzech miljonów, a którego notabene za życia trzymał dość krótko Ojciec oszczędny, syn marnotrawny! Przez kilka lat, ten piękny chłopiec... jest rzeczywiście uderzająco piękny... rozrzucał garściami ojcowiznę i własne życie: na szczęście i ogryzki które się ostały, coś warte Jego wybryki, które swego czasu aż nadto wiele hałasu robiły, martwiły okropnie twojego dziadka, kochał go bowiem jak własne dziecię i nie mógł się uspokoić, widząc iż zaciąga się do armji zbijo bruków, pasożytów, nikomu na nic nie potrzebnych. Młodzieniec to nie pozbawiony przymiotów dodatnich, pełen talentów i zdolności, z umysłem bystrym, z sercem szlachetnem. Przysiągł, że go podźwignie z upadku, żeniąc, i nigdy się z nim nie spotkał, żeby mu nie wspomniał o dwóch, trzech pannach na wydaniu. Zawsze jednak odchodził z niczem Nareszcie powziął myśl swatać swojego ulubieńca z jedną z moich córek. Niedługo przed śmiercią sprowadził do siebie Valporta i wspomniał mu o tem z takiem samem jak i dawniej niepowodzeniem Chłopak ani chciał słuchać o czemś podobnem. W kilka dni później, na nasze szczęście czy niedolę, córka moja wpadła gdzieś w oczy pięknemu potworowi i oto człowiek spiorunowany..

— Spiorunowany? — powtórzyła Jetta z najwyższem zdziwieniem.

— Hm! tak.. stało się niewiedzieć co. Na chwilę przedtem, chodziło się, wracało, gawędziło o wszystkiem i o niczem, jak reszta świata trudniło się interesami lub rozmyśliwało nad nowemi rozrywkami i przyjemnostkami, patrzało się na przechodniów i wyobrażało sobie, że to wszystko życie stanowi. W chwilę później, stajemy się wręcz innym człowiekiem, zaczynamy bredzić, tracimy niemal zdrowe zmysły i na całej kuli ziemskiej widzimy ją jedną tylko. To się nazywa zostać spiorunowanym.. Naprawdę widzisz pani przed sobą ojca wielce zafrasowanego. Moja córka waha się, ma pewne wątpliwości Mam że je zwalczać? Któż mi zaręczy, że nazajutrz po ślubie nie opęta nas na nowo szatan i jego mamidła?.. Moja córka nie przeszła zresztą szpitalu tak jak pani W szpitalu dowiadujemy się, iż człowiek zdrów całkowicie. na ciele i duszy, jest nader rzadkim wyjątkiem, iż nie tylko trzeba się oswajać z chorymi, ale mieć o nich staranie, nie wątpiąc nigdy, iż mogą być wyleczeni i że zawód lekarzy i lekarek, jest jednym z najszlachetniejszych Czy moja córka potrafi zdobyć tak wielki, tak przeważny wpływ na męża, żeby go ustrzedz od dawnych nawyczek i upodobań, podźwignąć go moralnie, przyjść w pomoc jego dobrym skłonnościom, dopomódz do obrania zawodu pożytecznego, do zostania człowiekiem?..

— Ah, panie, jakież to wzniosłe dzieło do spełnienia — Jetta w zachwycie ręce złożyła.

Twarz jej rozjaśniona przybrała niemal wyraz nieziemski.

— Dobrze! lecz czy my wiemy, iż ta młoda dziewczyna zdolną będzie do zadania tak niesłychanie trudnego, że będzie dość silną aby spełnić takowe?

— Powinna o to pytać siebie i pytać również...

— Boga, nieprawdaż? Oh, nie jesteśmy w kawiarni pod „Ropuchą latającą", można go nazwać, nie płacąc kary.

— Trzebaby szczególniej...

— Cóż takiego?...

— Aby ten człowiek...

— A dalej?...

— Nie był jej obojętny, żeby go kochała — szepnęła zarumieniona.

Po raz pierwszy wymknęło się jej to słowo, tak niebezpieczne i tak trudne do wymówienia.

— Ah, zapewne—odpowiedział.—Czytamy także czasem Nowy testament, w którym stoi napisane: „że miłość jest pełna dobroci, że miłość jest cierpliwa, że się nigdy nie opiera, na wszystko jest zrezygnowana, we wszystko wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko znieść potrafi." — Ten kto to powiedział, nazywał się Paweł; niektórzy jednak uważają go za fantastę. Trzeba by teraz wiedzieć, czy kobiety są wogóle zdolne do odczucia miłości tak potężnej i czy pan Valport godzien nią natchnąć którąkolwiek z nich. Gdybym go pani przedstawił?.. Wybadałabyś go i powiedziała mi w sekrecie, co o nim myślisz.

— Ah, panie—odpowiedziała przestraszona—mam tak mało rozumu.

— Dziadek pani utrzymywał przeciwnie, iż masz oczy jasnowidzące.

Chciała odpowiedzieć. Przerwał im lokaj rozmowę, przyniesieniem biletu wizytowego na srebrnej tacy.

— Ah, mój Boże — wtrącił pan Vaugenis, podając jej bilet — zapomniałem na śmierć, że dziś dwudziesty piąty marca. W tym dniu więźniowie z kaźni wychodzą.

Na bilecie wyczytała nazwisko Alberta Valport. Wstała aby odejść natychmiast, p. Vaugenis jednak przytrzymał ją za rękę i rzekł:

— Wyświadcz mi pani przysługę, nawet łaskę prawdziwą Pragnę żebyś była świadkiem, niewidziana przez niego, rozmowy z moim przyszłym zięciem Jeżeli wyrwie mu się jedno słowo, któreby się pani nie podobało, zerwę z nim stanowczo

Nadaremnie przeciw temu z całej siły protestowała. Mimo oporu z jej strony poprowadził ją do pokoju obok, posadził na kanapce tuż przy drzwiach, które zostawił otwarte, zapuszczając tylko portjerę aksamitną.

— Zjawiłeś się więc kochany Valport — wykrzyknął za chwilę

— We własnej osobie kochany prezydencie — odpowiedział głos miękki i dźwięczny, który usłyszawszy panna Maulabret aż podskoczyła na kanapce. — Sądzę, iż pan mnie oczekiwałeś.

— Nie koniecznie.. Jedyny Albert Valport, którego znałem, był młodzieńcem zjawiającym się częstokroć niespodziewanie, ale nigdy wtedy, gdy go oczekiwano.

— Przedstawiam panu zatem innego zupełnie, u tego punktualność ścisła, należy do głównych cnót Chciej mi pan jednak powiedzieć łaskawie, jak zdrowie pani Vaugenis i pańskich miłych córeczek?

— Zaraz... Zacznijmy najprzód od twoich interesów, kochany Valport, od umowy, którą zawarliśmy ze sobą... Czyś wypełnił wszystkie tejże warunki?

— O ile pamiętam, przyrzekłem nie wyjeżdżać krokiem z zamku mojego przed dwudziestym piątym marca. Żyłem tam przez trzy miesiące jak pustelnik, nie nudząc się wcale. Mogę oczekiwać na pewno, że na rok przyszły zostanę obrany merem w gminie, co sprawi wielką nieprzyjemność temu kochanemu panu Cornet, który zajmuje to stanowisko.

— Gdybym była panną Vaugenis — pomyślała Jetta nie tracąc i jednego słowa z rozmowy — nie poślubiła

bym go; mówi o swoich przyrzeczeniach, tonem nadto lekceważącym.

Badając siebie dokładniej, odkryła iż ma powód pewien głęboko w sercu ukryty, dla którego nie radaby, żeby to małżeństwo przyszło do skutku. Nie miała czasu nad tem się dalej zastanawiać. Po krótkim przestanku, rozmowa na nowo się rozpoczęła i choć niby nie bardzo chętnie, słuchała z uwagą natężoną.

— Jedno u ciebie dobre, kochany Valport — zaśmiał się pan Vaugenis — to że można ci wierzyć na słowo. Utrzymują, że słowo dane przez Turka, warte więcej niż dziesięć podpisów, tyś Turkiem po trochę i co do tego.. Odpowiedz mi z równą szczerością na drugie pytanie: Ów stosuneczek, który pragnęliśmy zerwać?

— Zerwany na zawsze. Ani drugi król Salomon nie potrafił by go nawiązać napowrót!

— A pańska odaliska nie próbowała zobaczyć się z tobą?

— Przybyła raz do zamku, mój odźwierny jednak, który trzyma się rozkazu po wojskowemu, nie pozwolił jej progu przestąpić. Wróciła przebrana za strzelca, mój odźwierny atoli posiada węch doskonały i oko bystre. Poznał ją natychmiast. Napisała że zamek mi podpali na cztery rogi. Mój odźwierny, człek przezorny, odczyścił i wypróbował sikawkę i przybrawszy sobie kilku tęgich chłopców do pomocy, przez cały tydzień odbywał nocne patrole. W tydzień później, przysłała mi list drugi, w którym donosiła mi, iż pogardza mną z całej duszy i że nie ja ją porzuciłem, ale ona mnie dłużej znosić nie mogła... Próżność podrażniona, nic więcej; wszystkie damy zakulisowe są w tym rodzaju.

— A jednak rozchorowała się po twoim wyjeździe.

— I pan w to wierzysz?... Gdybyś czytał pisemka brukowe, byłbyś się z nich dowiedział, że we dwa tygodnie po moim odjeździe, frunęła w świat w mrozy najtęższe i brnąc w śniegu z jakimś landlord'em szkockim, zapolowała w jego towarzystwie na niebieskie lisy. Ku wielkiej mojej zgryzocie przywiozła sobie z tej wyprawy niebezpiecznej reumatyzm w stawach. Ból to nader przykry, ale serce w nim nie gra żadnej roli. Afisz zresztą potwierdza moje słowa. Tańczyła wczoraj, tańczy jutro. Wszystko jest zatem załatwione, skoro kończy się podskokami.

— Jeszcze punkt jeden. Byłeś zobowiązany, iż...

— Oh! nie kończ pan.. Przyznaję, że co do tego mam coś na sumieniu.. Cóż pan chcesz? I oczy miewają dziwne zachcianki... Dwa razy jeździłem konno w okolicę Combard'u.

— Combard'u? — szepnęła Jetta oddech niemal wstrzymując.

— Lindor, tylko bez mandoliny! Ale źle wyszedłem na tych wycieczkach. Za pierwszym razem ujrzałem zdaleka, przez kraty żelazne, ładny kapturek popielaty, podszyty niebieskim kolorem, który przechadzał się zwolna po szerokiej ulicy w parku. Drugi raz nic wcale nie widziałem... Aby jednak spowiedź była zupełną, wypowiem jeszcze jeden grzech popełniony. Wiedziałem ze źródła najpewniejszego, że ubóstwia Chryzantynum; nie mogłem oprzeć się pokusie i posłałem jej jedno drzewko.

Jetta zadrżała od stóp aż do głowy; parasolka złożona na kolanach, spadła na posadzkę; na szczęście miękki kobierzec angielski pochłonął stuknięcie.

— To się więc mnie tyczyło! — szepnęła w osłupieniu.

I w tej samej chwili przycisnęła serce oburącz, które zaczęło bić tak gwałtownie, iż bała się żeby nie usłyszano tego bicia po drugiej stronie muru.

— Twoje grzechy kochany Valport — zażartował pan Vaugenis — zasługują na pewien wzgląd i pobłażanie.. kochasz więc ją zawsze?

— To mi pytanie!.. A po cóż tu jestem?

— Cóż ci się w niej jednak tak bardzo podoba?

— Nadtoś pan ciekawy! proszę o to nie pytać. Po raz pierwszy w życiu, nie wiem dlaczego kocham, a to jest miłość prawdziwa, która trwa wiecznie.

— Koniec końców, nie widziałeś jej przez całe trzy miesiące, nie można zatem przystosować do ciebie przysłowia: Co z oczu, to i z serca.

— Nie rób mnie pan lepszym, niż jestem. Miałem przed sobą jej wizerunek.

— Ukradziony, rzecz naturalna!

— Raczej... podpatrzony. W dniu, kiedy ów człowiek, po którym tak ja, jak i pan odtęsknić się nie możemy, wspomniał mi o niej, zaledwie raczyłem uchem posłuchać tego co mówił, a jednak wzbudził we mnie pewną ciekawość. Poszedłem do jej szpitala, pod pozorem odwidzenia chorej, której tam nigdy nie było. Asystenta nie zastałem, powiedziano mi zaś, iż on jeden mógł by mnie objaśnić, co się z chorą stało. Czekałem usiadłszy w okna framudze, gdy wtem spostrzegłem nieopodal, siostrę w białej szacie, klęczącą u łoża chorej kobiety i bandażującą jej nogę zranioną. Zajęta wyłącznie swoją pracą, zapewne nie domyślała się, że o kilka kroków znajduje się człowiek przez nią nagle oczarowany, który mówił sobie w duchu: — „Będzie moją lub zginę.“ — Ukryty we framudze, wyjąłem z kieszeni książeczkę z ołówkiem.. wiesz pan, że mam dar do chwytania w lot podobieństwa. Jakaś zakonnica w czarnym habicie przechodząc koło mnie, spiorunowała mnie spojrzeniem pełnem oburzenia. Schowałem czemprędzej książeczkę i wyniosłem się jak niepyszny. Dokończyłem rysunku z pamięci i powiadam panu, że jest on małem arcydziełem.

Na te słowa wykrzyknął p. Vaugenis:

— Ejże, mój piękny paniczu! czyś tylko przypadkiem nie zakochał się raczej w owej sukni niż w kobiecie?

— Sam sobie zadawałem już to pytanie — odpowiedział z pewnem wahaniem. — Gdym jechał do mojej pustelni, spotkałem ją był na stacji; nie miała na sobie śnieżnej szaty i wtedy byłem pewny swego... Dość jednak rozmowy; spełniłem co do joty to, do czegom się był zobowiązał, teraz kolej na pana dotrzymać mi słowa.

— A na cóż ja ci właściwie słowo dawałem? — pan Vaugenis wzruszył ramionami. — Obiecałem jedynie zachować w tej sprawie zupełną neutralność. Odkąd przestałem być prezydentem, nie chcę brać na siebie żadnej odpowiedzialności. Niestety! mój biedny chłopcze, przewiduję z góry olbrzymie przeszkody!

— Liczę na nie! Trzeba zawsze okupić drogo szczęście, a trudności dodają uroku wszem rzeczom.. Znam je lub się ich domyślam, nie tracę jednak nadziei, że je potrafię pokonać... Kiedyż mnie pan atoli zechcesz przedstawić? Dopiero wtorek. Pani Vaugenis czy zawsze przyjmuje w czwartek wieczór? Dowiedziałem się w Combard, że panna Maulabret jest w Paryżu. Wszak będzie u państwa?

— Będę ją o to prosić... Jeżeliby przecież panu ręki odmówiła, cóż myślisz zrobić?

Wstał odpowiadając pół żartem, pół serjo:

— Jeżeli mi da kosza mój kochany prezydencie, przestraszę was okropnościami, których nie omieszkam popełniać, czem uszczęśliwię pana Cornet, zostawiając go merem na wszystkie czasy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

Był szczytny! Czoło mu promieniało aureolą patrjotyzmu, poświęcenia bez granic aż do śmierci męczeńskiej. Nawet Reginald był tem olśniony.

— Przebacz sir! — szepnął wzruszony — zapoznawałem ciebie! Wszędzie, nawet w obozie nieprzyjacielskim, nawet w szeregach powstańców, można znaleźć wielkie serca!...

— To jeszcze nie odpowiedź! — wtrącił Jakób. A widząc że pułkownik dalej się waha: — Powiedz sir jedno słowo! — naglił — a przysięgam, że wszyscy moi przyjaciele i towarzysze broń rzucą! Wymogę to na nich! Oto daję przykład z siebie i jestem gotów iść gdzie rozkażesz!— Porzucał na murawę pistolety, odpasał szpadę, na wszystko zrezygnowany.

Syn wice-króla tak wreszcie przemówił:

— Nawet mój ojciec, nie mógł by w tym wypadku obiecywać samowładnie i wiązać się słowem honoru. Musi nad tą sprawą odbyć wprzód naradę, z całem gremium komisarzy rządowych. Jutro właśnie ma być zwołaną sessja jeneralna.

— Jutro wieczór zatem — oświadczył wódz powstańców — będę czekał odpowiedzi na tem samem miejscu Jeżeli przyjmie wniosek twój sir rada państwa, wyślij po mnie dragonów.

— W razie przeciwnym — zakończył Reginald — hrabia Gaillefontaine, raczy wziąć na siebie posłannictwo uwiadomienia cię sir, co uchwalono. Do jutra!

I aby nie okazać nagłego rozrzewnienia, puścił się galopem. Tankred za nim pospieszył uścisnąwszy, wpierw serdecznie zacną prawicę Jakóba.

XXII.

Newgate.

Rada Państwa wniosek odrzuciła.

Nie chciano wchodzić w układy z buntownikiem, z bandytą. Tankred, gdy go o tem zawiadamiał, starał się ile możności złagodzić doniosłość tych wyrazów obelżywych. Jakób odgadł jednak zniewagę i uniósł się gniewem straszliwym: — Ah! — zawołał nazajutrz wieczorem, w tem samem miejscu pod Dębem królewskim — chcą zatem wojny?... Jak Bóg na niebie będą ją mieli! Wiarę moją osłabiły chwilowo nasze nowe niepowodzenia, zniszczenie floty batawskiej, spóźnianie się Francuzów, cierpienia i rozliczne nadużycia, na które jest ciągle nasz biedny lud narażony, po wsiach i miasteczkach, od dzikiego żołdactwa na kwaterach; wreszcie moje osobiste troski i zgryzoty... zwątpienie mnie ogarnęło, wyznaję! „A gdybym się mylił? — powtarzałem w duchu raz po raz. — Może Bóg nie chce udarować nas wolnością!...“ I sam pokój wrogom ofiarowałem! Sam w ręce im się oddawałem, chcąc umrzeć! Nie przyjmują? Biada im! Chwytam nazad za broń i będę walczył do ostatka! Mam wszelkie prawo do tego! — I przywoławszy Unkasa, który na głos pana zjawił się nagle, jakby wyrósł z ziemi: — I temu biedakowi to samo prawo przysłuża! — Jego rodzinę, całe pokolenie, kobiety i dzieci w czambuł wymordowano! Dwieście osób nieprawdaż? Zostało dwieście trupów?

Indjanin wszystko rozumiał, nie mógł atoli inaczej odpowiedzieć, tylko na migi, wydając przytem jęki i ryk dziki, przeraźliwy.

Z oczami pałającemi, pokazywał ruchem wymownym, język wyrwany.

— Także sprawka Anglików — tłumaczył *Wild - Irish*. — Zostawili go na pobojowisku, jako nieżywego. Podniosłem go, rany opatrzyłem i wkrótce siły odzyskał. Ztąd jego wdzięczność dla mnie i poświęcenie bez granic. Gdy mu zapowiedziałem, iż wracam do Europy, wtedy ten dziki zaczął szlochać jak dziecko! — Po co? — pytał mnie wzrokiem. — A gdym mu wytłumaczył, że wracam do kraju ojczystego, aby go wyzwolić z pod jarzma ciemiężycieli, którymi są Anglicy: — Weź i mnie z sobą! Weź i mnie! — błagał usilnie. — Będziemy się mścili razem!

Unkas potwierdzał całe opowiadanie, giestami namiętnemi, potem upadł do nóg swojemu panu, ręce jego oblewając łzami rzewnemi i obsypując pocałunkami

— Taką była radość jego, gdyśmy odjeżdżali — kończył *Wild - Irish*. — Oko za oko, ząb za ząb, to jedyne prawo Czerwonoskórych! Unkas przyrzekł cieniom swoich ukochanych złożyć im w ofierze dwieście skór zdartych z czaszek Anglików. Nie trać więc otuchy przyjacielu, złożysz jeszcze twoje całopalenie, na mogile pomordowanych. Nie rzucać mi broni! Walka na śmierć na nowo się rozpoczyna!

Indjanin zawył dziko. Był to niewątpliwie jego wojenny okrzyk.

— Jakóbie! Jakóbie! — potrząsł głową hrabia. — Zapominasz o naszym przyjacielu, naszym bracie! o losie biednego Edwarda!

Imię to usłyszawszy, *Wild - Irish* natychmiast się uspokoił. Odpowiedział z wielkiem wzruszeniem ale i z postanowieniem silnem a niezłomnem:

— Ani na chwilę o Edwardzie nie zapominam; zaczekam do ukończenia procesu. Zacznie się on niebawem, a wtedy będziesz mógł hrabio prawdopodobnie widywać lorda Edwarda. Uprzedź go, by był gotów na wszelki wypadek. W dniu, w którym wyrok na niego wydadzą — przypuszczam, że będzie na śmierć skazany — Dublin jak jeden mąż powstanie. Zaatakujemy gmach więzienny.

Daremnie Tankred usiłował wykazać mu szaleństwo takiego zamiaru rozpaczliwego.

— Mniejsza o to! — Jakób machnął ręką lekceważąco. — Oskarżają mnie żem go zgubił, przynajmniej razem zginiemy.

I jak lew rozjuszony, zniknął w lasu gęstwinie.

Hrabia wrócił zadumany i przygnębiony.

Od sześciu miesięcy zamieszkując „Eryn zielony“ oceniał należycie dziką energję niektórych jego mieszkańców, wytrwałość w oporze i chęć w gruncie godną uwielbienia, aby raz wyzwolić kraj cały z pod jarzma obcych a wrogich mu żywiołów i wpływów. On również walczył czas jakiś w Wandei i była nawet chwila, że ich sprawa zdawała się tryumfować nad krwawą marą rewolucji. Przypominał sobie słowa ostatnie Hoche'a dogorywającego. Bohater republiki wierzył święcie w Irlandji wyzwolenie. — Byłby może takowe uskutecznił, gdyby nie burza w zatoce Bantry. Miał zresztą w oczach przykład Ameryki. — Czyż nie skruszyła ona przy pomocy Francuzów więzów sromotnych? Irlandja przecież o wiele bliżej! Ale dla czego tak się ociągają? Czy pomoc nie przyjdzie za późno? Rozmawiając w ten sposób sam z sobą, Tankred znalazł się wreszcie u bram Dublina. Słońce zachodzące rzucając na miasto ukośne promienie, rozsiewało wszędzie blaski purpurowe, a szyby błyszczały, jakby były we krwi skąpane. Miałoż to być obrazem, a raczej przepowiednią pożogi, która czekała Dublin, w bardzo niedalekiej przyszłości?

Hrabia zdał sprawę z misji, która mu była polecona, przyczem znów łagodził o ile to się dało, gniew i dzikie groźby Jakóba.

— Najważniejszem dla mnie było — machnął ręką Reginald — żeby mógł oddalić się zdrów i cały. Jeżeli go kiedy pochwycą, nie będzie mógł nas przynajmniej o zdradę oskarżyć. Wolny, musi oddać sprawiedliwość naszemu honorowi! — A po chwili dodał: — Przybył kurjer z Londynu i przywiózł wice-królowi depesze z królewskiej kancelarji. Pitt wolę swoją obwieścił.

— I cóż?

— Sprawiedliwość musi iść swoim trybem.

— Proces zatem?

— Tak jest. „Ława Przysięgłych“ zbierze się w przyszłym miesiącu.

Reginald nie zdawał się bardzo zaniepokojony tą wiadomością. Zdziwiło to wielce Tankreda.

— Odebrałem jednocześnie — nadmienił Łucji narzeczony — list od księcia Galji, który raczy zaszczycać mnie szczególniejszemi względami, niemal przyjaźnią. Obiecuje on najsolenniej wdać się w tę sprawę, w chwili ostatniej. To znaczy prawie tyle, co ułaskawienie lorda Edwarda.

Radośna nowina doszła już była tymczasem do pałacu Leinster. Młodzi ludzie znaleźli się tam jak zwykle nazajutrz nad wieczorem.

W wielkich troskach i zgryzotach lada promyk jaśniejszy sprawia ulgę niesłychaną; jest bowiem jakby jutrzenką lepszych dni. Księżna, Pamela, Łucja, a nawet posępna zwykle Kornelja, były niemal rozradowane.

— Ah! gdyby mój biedny syn miał takich więcej jak wy przyjaciół! — Matka zwróciła wzrok łzawy na dwóch młodzieńców, w którym czytało się wdzięczność najżywszą.

— Lord Edward posiada w każdym razie, jeszcze trzeciego przyjaciela — przerwał Reginald — a ten milady, chciał i mógł ofiarować nawet to, czego przy najlepszych nawet chęciach dać byśmy my mu nie mogli, z tej prostej przyczyny, że ofiara nasza, na nic by się nie przydała.

— Cóż takiego?

— Życie własne! Oh! to w rzeczy samej poświęcenie bez granic! Nawet tym, którzy zkąd inąd zasługują na wstręt i nienawiść naszą, trzeba umieć oddać sprawiedliwość i uczcić w nich co czci warte!

— Jakto? — rzekła księżna z łagodną wymówką — przyjaciela tak wiernego, iż gotów by oddać życie za brata Łucji, ty byś miał pułkowniku nienawidzieć! I jakież jego nazwisko?

— Ma on tylko przydomek wojenny. Jest to ów człowiek, a raczej zjawisko tajemnicze, nieuchwytne, nieubłagane, które każe się nazywać *Wild-Irish.*

Księżna machnęła ręką podardliwie. Ani przypuszczała, by tem zjawiskiem, w jej oczach haniebnem i złowrogiem, mógł być wychowanek jej męża, Jakób. Uśmiech smętny wdzięczności niewypowiedzianej, pojawił się na zbladłych ustach Pameli. Kornelja złożyła ręce, jak do modlitwy i wzniosła w górę, piękne, czarne oczy. U Łucji ciekawość przygłuszyła chwilowo inne uczucia.

— Opowiedz nam to sir!.. szczegółowo — prosiła.

Reginald zwrócił się ku Tankredowi, jakby nim się pragnął wyręczyć.

— Nie! nie! — hrabia żywo zaprotestował. — Samo założenie, stanowiące treść całej tej historji, nadto ci sir zaszczytu przynosi, aby kto inny miał to opowiadać. Byłem zresztą li sekundantem, ty zaś pułkowniku głównym bohaterem... Proszę więc zaczynać!

Dopiero gdy skończył Reginald, hrabia dodał od siebie słów kilka uznania, dla rycerskiej szlachetności, której opowiadający złożył dowody w tym wypadku.

— Nie mogę dotąd wytłumaczyć sobie tej zagadki! — wyznał Anglik z całą naiwnością. — Tyle godności, tyle uczuć wzniosłych w takim człowieku.

— Ach! — Łucja zawołała — pamiętaj sir o tem wrażeniu, gdyby kiedy miał ci wpaść w ręce!

— Miss! — odpowiedział — pierwszym jest u mnie obowiązek, który spełniać muszę niewolniczo. Potem idzie twój obraz uroczy, wiernie odbity w sercu i w myśli. Jeżeli mi jest danem, oszczędzić jednego z tych nieszczęśliwych szaleńców, uczynię z radością, powtarzając sobie: To dla niej!

Z własnego popędu, narzeczona podała mu obie rączki i czoło białe nadstawiła do pocałunku. Reginald dotknął się czoła ustami. Szczęściem upojony, oddalił się, uciekł raczej rzuciwszy Tankredowi spojrzenie, w którem czytało się najwyraźniej: — Dzięki!

Lady Fitz-Gerald, zbliżyła się po cichu do Kornelji, a stanąwszy za jej krzesłem, objęła jej szyję ramieniem i do łona ją przycisnęła. Twarz Jakóba przyjaciółki i orędowniczki, była łzami zalana. Łucja była czarującą, z rumieńcem niewinności na czole, na którem spoczęły przed chwilą usta Reginalda; zdawała pytać się w duchu ze zdziwieniem:

— Czyż istotnie można tak małym zachodem, sprawić tyle radości, tym, którzy nas szczerze kochają?

Nawet księżna sama, mimo iż nie umiała rozwiązać zagadki i nie pojmowała całej doniosłości wypadków, czuła się dziwnie wzruszoną. Hrabia pierwszy odzyskał równowagę.

— Odwagi zatem! Odwagi! — zawołał prawie wesoło. — Wszak wszyscy przyjacieciele lorda Edwarda, są czynni! Sir Reginald spodziewa się ułaskawienia. Znam takich, którzy liczą na pomoc z bronią w ręku. Twój tylko, księżno, sługa najuniżeńszy i najżyczliwszy, szuka po głowie dotąd, a nic stanowczego wymyślić nie może. Ale i mnie uda-

ło się odkryć Feniksa w swoim rodzaju, młodego adwokata, który mam wszelką nadzieję, cudów dokaże!

— Jakże się nazywa?

— Daniel O'Connel.

Wielkie to imię, którem miała niedługo szczycić się cała Irlandja, było dotąd zupełnie nieznane. Może jeden hrabia odgadł w młodym towarzyszu podróży, człowieka gienjalnego.

Zaproponował mu też obronę Fitz — Gerald'a.

O'Connel mieszkał nader ciasno i skromnie, nieopodal gmachu sądowego. Umeblowanie bardzo niedostateczne i zupełnie proste, zdradzało surowość ascety niemal i świadczyło o stanie ubóstwa, prawie z nędzą graniczącego. Mimo iż młody adwokat był od kilku miesięcy przyjęty i na liście prawnych obrońców zapisany, dotąd nadaremnie pierwszej sprawy wyczekiwał.

— Oto, czego pragnąłem! Czego mi potrzeba! — wykrzyknął z chwalebnym zapałem — szanuję i kocham lorda Edwarda. On jest duszą całej Irlandji!—I dodał spokojniej po chwili namysłu: — Muszę jednak wpierw zbadać jego zasady. Jak wiadomo, ganię wszelkie środki gwałtowne, wierzę atoli święcie w tryumf sprawiedliwości. Bronić sprawy Fitz-Gerald'a znaczy tyle, co stawać w obronie ojczyzny! Jeżeli tylko raczy mnię przyjąć, stawię się na jego rozkazy.

— Spodziewam się go wkrótce zobaczyć — Tankred odpowiedział.

Długie śledztwo spisku, wielce rozgałęzionego, było istotnie na ukończeniu; trzymanie zatem więźniów w ścisłem od reszty świata odosobnieniu, nie dało się więcej niczem upozorować. Reginald wystarał się tedy z łatwością dla Tankreda o pozwolenie, którego tenże pragnął od dawna.

— Zobacz go hrabio najprzód — westchnął ciężko. — Nie śmiem przystąpić ze szczerem wyznaniem do matki, żony i siostry lorda Edwarda, które tak długo łudziłem, niemal oszukiwałem!

Dublin, jak i Londyn, posiada swój Newgate. Gmach to odwieczny, ciemny, ponury, prawdziwe więzienie stanu. Przytyka on do pałacu wice-króla. W jego murach czarnych i wilgocią ociekłych, odegrał się nie jeden krwawy dramat, nie jedna straszliwa tradycja do nich przylgnęła. Zaiste trudno by zliczyć winnych i męczenników, którzy wyszli ztamtąd prosto na rusztowanie. Napis Piekła Dantejskiego, można by tu w zupełności zastosować:

»*Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate.*«

Przeszedłszy kilka ciemnych korytarzy i otworzywszy kilka krat żelaznych, stróż więzienny, który służył Tankredowi za przewodnika, stanął wreszcie przed drzwiami dużemi i okutemi sztabami żelaza. Była to kaźnia lorda Edwarda. Więzień drzemał na wąskiem, twardem łóżku, plaidem szkockim owinięty. Na brzęk wrzeciądzy i stuk głuchy klucza w zamku, obudził się i podniósł zwolna. Promień słoneczny przekradający się z góry, mimo iż okienko było niewielkie, a w dodatku, gęsto okratowane, oświetlił postać więźnia.

Tankred na ten widok, nie mógł stłumić okrzyku zdziwienia i najwyższej boleści.

XXIII.

Dwaj więźniowie.

Pół roku zaledwie dobiegało, gdy hrabia spotkał był lorda Edwarda w rozkosznej ustroni w Kildar, igrającego na kwiecistej murawie z swojemi dzieciętami, pieszczącego się z ich matką czarującą; w pełnym rozwoju sił fizycznych i prawdziwie męskiej urody, żyjącego cichem szczęściem ogniska domowego.

Jakaż zmiana straszliwa! Byłżeby to on, w rzeczy samej? Twarz chuda okropnie, powlekła się skórą żółtą i pomarszczoną. Cała postać przygarbiona, złamana. Wyglądał jak szkielet! Ogień gorączkowy błyszczy w głęboko zapadłych źrenicach. Broda długa, nieogolona i włosy zrzadłe, przyprószyła przedwczesna siwizna. Jakób nic nie przesadził. Niewola go zabijała. Zestarzał się o drugie tyle lat, ile ich właściwie liczył.

Tankred cokolwiek z pierwszego wrażenia ochłonąwszy rzucił się ku niemu, a nie mogąc na razie głosu wydobyć z piersi ściśniętej, porwał go namiętnie w ramiona. Olśniony nagle słońca promieniem, więzień nie umiał sobie zdać sprawy, kto mu właściwie sen przerwał.

— Ach! — jęknął głucho, a dreszcz go po całym ciele go przebiegła. — Boli mnię!

Szal usunął się z ramienia, odkrywając rękę na temblaku zawieszoną. — Jakto?! — Tankred zawołał przerażony — rana jeszcze się nie zagoiła?!...

— Ona najmniej mi dokuczyla! — więzień potrząsł smętnie głową — i gdyby nie inne gorsze cierpienia.. —Urwał w pół i przetarł oczy, jakby im nie dowierzał.—Ale kogoż to ja widzę przed sobą?!... — wykrzyknął radośnie. — Wszak nie śnię i wzrok mnię nie myli... To ty hrabio!

Nastąpiło drugie przebudzenie. Twarz spłonęła mu rumieńcem, w oczach błysnął promień szczęścia. Na gorące zapewnienia, o nigdy niezmiennej przyjaźni w sercu Tankreda, lord przerwał mu żywo:

— Więc istotnie o mnie nie zapomniano.

— Nigdy! nigdy! ani na chwilę! — Tankred zawołał—lady Pamela, miss Łucja, księżna Leinster, tą myślą li oddychają, kiedy wreszcie będzie im wolno przejść przez ten próg przeklęty!

— A moje dziatki?.. Mów mi przyjacielu o moich maleństwach! — wyjąknął głosem urywanym, łkając gwałtownie. Twarz miał łzami zalaną.

Tankred musiał opowiedzieć szczegołowo, bieg wypadków, po jego osadzeniu w murach więziennych. Gdy mu skreślił obraz, jak czule przyjmowała księżna synowę i wnuczęta, rozrzewnienie Edwarda doszło do szczytu.

— Wiedziałem!... coś mi o tem wspomniał i Reginald — szepnął — ale nie z tem ciepłem serdecznem, jak ty to czynisz drogi przyjacielu! Oh! moja matka, najlepsza matka! — Milczenie zapanowało. Rysy więźnia życia nabierały. — Jak ona ganić mnie musi — wtrącił po chwili — żem dobrowolnie tyle szczęścia postradał. Obowiązek przedewszystkiem. Dla ojczyzny, czyż można za wiele poświęcić? Chciałem i chcę dotąd, moją biedną Irlandję z więzów haniebnych wyswobodzić. Nie mów mi przyjacielu, że to są mrzonki chorobliwe, marzenia, które nigdy się nie spełnią.. Czyż pęt równie sromotnych nie zerwały Szwajcarja, Szwecja, Niderlandy, wreszcie Stany Zjednoczone Ameryki i w warunkach o wiele trudniejszych niżeli są nasze? Opatrzność zeszle kiedyś na pomoc i naszej biednej Irlandji, drugiego Tella, Gustawa Wazę lub Waschingtona... Każdy naród musi zostać wolnym, skoro potrafi na wolność cnotami zasłużyć. Wierzę święcie w przyszłość naszą... i nie żałuję ofiary uczynionej. Posłuży ona innym za przykład! — Nad czołem więźnia unosiła się glorja męczenników. — Mów mi jeszcze, o moich to-

warzyszach niedoli! — pytał dalej: — Bracia Sheares, O'Connor, Jack? Oh! Wiedzą oni wszyscy dokąd dążą, i nie można ich przecie nazwać bezmyślnymi szaleńcami!

Tankred wyznał szczerze, iż nic nie wie o reszcie uwięzionych. Co się tyczy Jakóba, opowiedział scenę z pod Dęba królewskiego.

— Wielkie, szlachetne serce! — wykrzyknął Edward wdzięcznością uniesiony. — Oby kiedyś moje dzieci mogły za mnie mu odpłacić! Nie od dzisiaj wiem, iż gotów życie swoje poświęcić, byle mnie uratować, dla tych którzy mnie kochają. Kiedyż jednak tych wszystkich zobaczę? Pamelę, Łucję, matkę? Prędkoż przyjdą?

— Jutro... tak myślę przynajmniej... Muszę je cokolwiek przygotować na te odwidziny... Biedaczki. Sir Reginald w najlepszej wprawdzie intencji, łudził je i systematycznie przed niemi prawdę ukrywał.

Więzień nie pojął zrazu o co tu idzie. Spojrzawszy atoli mimowolnie w wiszące naprzeciw zwierciadło, gdzie odbijała się w całej grozie jego twarz trupia:

— Rozumiem — uśmiechnął się z goryczą. — Nie spodziewają się zobaczyć mnie tak cudownie pięknym! takim dezerterem z katafalku!.. Uspokój się jednak przyjacielu! Jutro będę zupełnie inaczej wyglądał! Reginald przyszle mi swojego fryzjera i kamerdynera.. Skoro się podstroję, zaraz będę miał lepszą minę Radość cudów dokazuje. Myśl sama, że je wszystkie jutro zobaczę, uściskam, że uczuję na szyi moich dziatek rączęta, już mnie ożywiła, już inaczej krew w żyłach krążyć zaczyna Czuję się stokroć zdrowszym i weselszym.

Powstał z łóżka w rzeczy samej, radośnie uśmiechnięty i zaczął się o własnej sile przechadzać.

— Co do mojego apartamentu — powiódł wzrokiem po kaźni — nie jest może jednym z najweselszych, ale nie ma również w sobie nic ponurego. Obchodzą się ze mną, muszę przyznać, z pewnemi względami.. Nie jest to zawsze loch więzienny.

Był to istotnie pokój dość obszerny i wcale przyzwoicie umeblowany. Dwa okienka niewielkie pod samem sklepieniem wybite, mimo krat żelaznych dość światła wpuszczały. Podłogę z cegieł, przykrywał miękki, wzorzysty kobierzec.

— Jest zresztą — ukończył Edward — doktor Jumble, mój wierny towarzysz w niedoli. Zpreparuje on mi jaki kordjał wzmacniający... Musi ci sam oświadczyć, drogi przyjacielu, że stan mój nie jest bez nadziei! Sąsiadujemy z sobą. Umyślnie te drzwi otworzono, aby mógł mnie w chorobie pielęgnować. Jego li staraniom życie zawdzięczam... Zaczekaj! — Edward postąpił ku drzwiom naprzeciw, które się tylko na klamkę zamykały, a stanąwszy na progu zaczął wołać na cały głos: — Doktorze!... doktorze!.. Hej! panie Jumble!

Dopiero za trzeciem, coraz głośniejszem wołaniem, dał się słyszeć rodzaj odpowiedzi, a raczej mruku, dość co prawda gniewliwego, który bynajmniej do wejścia nie zachęcał.

— Chodźmy do niego, kiedy on do nas przyjść nie chce! — rzekł Edward ciągnąc za sobą Tankreda i weszli do drugiej kaźni.

Tu czekała hrabiego nie lada niespodzianka! Nie była to wcale celka więźnia, ale raczej istne laboratorjum alchemisty. Widziało się tam rozmaite piecyki, słoje, alembiki metalowe i szklanne retorty. Z jednej strony cała apteka, z drugiej zwierzęta, ptaki wypchane i szkielety różnych rozmiarów. Co do książek i manuskryptów, tych było pełno w każdym kącie. Mimo iż słońce jasno świeciło, na wielkim stole, między stosem papierów, lampa się paliła Doktor Slowius Juble, pisał a pisał, aż pióro trzeszczało, oczów wcale nie podnosząc

— Pst! pst! — nakazał wchodzącym milczenie. — Czekajcie, aż skończę okres bardzo ważny.. Oto jest!... Doskonale!.. A teraz jestem gotów na wasze usługi... Proszę mi łaskawie wybaczyć!...

Podniósł się wreszcie i powitał gości uprzejmie. Był to typ staruszka, najbardziej oryginalny, jaki by mogła stworzyć fantazja najbujniejsza. Na małej i wątłej figurze, głowa ogromna z czołem szerokiem i naprzód wystającem, z nosem orlim, mocno zakrzywionym, z oczami świdrowatemi i błyszczącemi, jak u sowy. Miał na sobie rodzaj kaftana z ciemnej jedwabnej materji, lekko watowanego i jak kołdra pikowanego. Był on w wielu miejscach podarty, poplamiony lub powypalany kwasami i innemi ostremi płynami. Spodnie aksamitne, czarne, na pół z bioder mu spadały, pończochy poskręcały się zabawnie, nawet zgubił był jeden trzewik z nogi Istna postać Hofmanowska.

Mimo tego, bynajmniej śmiesznie nie wyglądał. Był nawet najpopularniejszym człowiekiem na całą Irlandję, nie tylko jako najbieglejszy operator i lekarz doskonały, ale niemniej jako mąż znany z bezinteresowności i niezrównanej dobroci serca. Czuło się w nim mędrca prawdziwego.

— Sąsiedzie, — Edward zagaił rozmowę — pozwól sobie przedstawić mojego najlepszego przyjaciela, hrabiego Tankreda Gaillefontaine, Francuza.

Lekarz wyciągnął członki długiem siedzeniem skurczone, aż mu w stawach zatrzeszczały, i słuchał zrazu z uśmiechem najgrzeczniejszym. Nagle twarz mu się zmieniła, jakby słowa ostatnie trwogę w nim obudziły.

— Francuz! — zawołał. — Czy może Francuzi wylądowali, zwyciężyli i chcą nas uwolnić?...

— Uspokój się szanowny kolego — roześmiał się Edward. — Nie ma mowy o tem, żeby nam kto miał otworzyć bramy więzienne.

— Ach, oddycham! — lekarzowi twarz się na nowo rozjaśniła — Aleś mi strachu napędził milordzie. — I zwracając się uprzejmie do Tankreda: — Racz usiąść panie hrabio — dodał wskazując na stos książek, poukładanych jednak na podłodze tak krzywo, iż nie łatwo by było utrzymać się na nich w równowadze. Hrabia patrzył to na jednego, to na drugiego, nic a nic nie rozumiejąc.

— Wyobraź sobie — tłumaczył mu jaśniej lord Edward — iż nasz przyjaciel doktor Slovius, nie uskarza się wcale na więzienie.

— A dla czegoż do stu katów, miałbym się skarżyć? — lekarz zawołał z zapałem. — Wiwat! więzienie! Tu tylko można spokojnie pracować! *Nunc est demonstrandum* — mówił dalej. — Zastanów się tylko sir. Na świecie, w owym stanie, bardzo niesłusznie wolnością nazywanym, miałem chorych do odwidzania, pełno operacyj do robienia, posiedzenia akademji, w których musiałem prezydować, nie licząc korespodencji i tysiącznych innych nieprzewidzianych przeszkód i wypadków. Tu przeciwnie ściśle nas strzegą. Choćby więc chciał jaki intruz wleźć do mnie, aby mi czas drogi zabrać: — Stój! Nie wolno! zawołałby Cerber więzienny i prędko by się z nim uporał. Tego niczem nie

ubłaga i nie przekupi. Ani ludzie, ani gwar uliczny, niema teraz do mnie przystępu. Nigdy drzwi moje nie były tak skutecznie zamknięte. Po raz pierwszy od lat blisko czterdziestu, godziny i dni całe, do mnie wyłącznie należą. Nic mnie od pracy nie odrywa. Jest to w całem tego słowa znaczeniu: „Myśli niepodległość.“ Na wolności, była ona skrępowaną i dopiero w więzieniu czuje się całkiem wolną.

— Paradoks nadzwyczaj zręcznie przeprowadzony i poparty — Tankred zauważył.

— Paradoks? — lekarz żywo zaprotestował.—Czyż sir nie widzisz, że moje laboratorjum i moją całą bibliotekę, razem ze mną zamknięto? Dzięki! Dzięki stokrotne panowie Anglicy! Wam zawdzięczam, iż będę mógł wreszcie ukończyć dzieło, które ma mi zapewnić sławę nieśmiertelną!

I w postawie bohaterskiej, mędrzec oparł się ręką o stos zeszytów, z których jeden leżał na biurku rozpoczęty.

— Dzieło—uzupełnił Edward — o narkotykach i truciznach w ogólności.

— Ale które sięga o wiele wyżej — lekarzowi źrenice się zaiskrzyły — Przeczytaj sir tytuł tylko, a jeślibyś go nie miał dokładnie zrozumieć, pozwól udzielić sobie niektórych objaśnień.

Wskazał Trnkredowi pierwszą stronicę, na której tenże wyczytał te słowa wypisane wielkiemi literami na przemian atramentem czarnym i czerwonym: „Przejście z życia do śmierci i na odwrót.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy.)

W księdze aktów psychologicznych i moralnych Napoleona znajdujemy zato kilka wykazów zupełnie mylnych Oprócz braków wrodzonyoh, wypływających z natury, a tem samem niepowetowanych, błędy odnoszą się tu głównie do kwestji papieża i sumień katolickich. Uniesiony fałszywym poglądem, waży również zbyt nisko siłę patrjotyzmu w Hiszpanji i Niemczech, przecenia zaś urok, wywierany przez potęgę swą we Francji lub krajach do niej przyłączonych, oraz zaufanie i gorliwość, na które zbyt wiele liczył niekiedy.

Błędy te jednak nie są wynikiem zaślepienia. Napoleon stważa je siłą własnej woli i rozmyślnie chce im ulegać. Jeżeli w sądach jego spotykamy złudzenia, — są one świadomie użyte, zdrowy bowiem rozsądek, przeważający w jego umyśle, staje się nieomylnym i nigdyby się do fałszywych nie nagiął mrzonek; namiętność tylko mogłaby go zamącić niekiedy. Dwa zato pozostałe zbiory dokumentów: księgi — topograficzna i wojskowa, odznaczają się niesłychanem bogactwem szczegółów i dokładnością. Bez względu też na rzeczywisty stan ówczesnych stosunków politycznych, na potworną ich zawiłość i zagmatwanie, znajdujemy je tu odźwierciadlone tak szczegółowo, iż odtworzone rys do rysie, z fotograficzną występują ścisłością.

A jednak masa ta nagromadzonych notatek — to część dopiero skarbów, zapełniających umysł olbrzyma. Obok poglądów opartych na rzeczywistości, piętrzą się jeszcze pojęcia zaczerpnięte z dziedziny przypuszczeń jedynie. Bez tych kombinacyj oderwanych nie umiałby przeistaczać krajów, kierować narodami, — czy zaś opuszczał najmniejszą ku temu sposobność, na to niech historja odpowie. Chwytając za jakiś plan działania, wybierał go z pośród wielu innych pomysłów, ważył długo, porównywał, a tem samem dowodził najlepiej, że te inne z równie głęboką rozwagą były tworzone. Spojrzawszy też baczniej na każdy jego projekt, ujrzymy w głębi cały szereg pokrewnych mu planów; dziesiątki ich składają się dopiero nietylko na ostateczne postanowienie, na śmiały obrót wojsk, podpisanie traktatu, rozkaz dzienny lub ogłoszenie wyroku, ale nawet na każde słowo zaimprowizowane i pozornie z duszy płynące. Niech nikt nie szuka u Napoleona wybuchów bezwiednych, najszczersze bowiem jego uniesienia oparte są zawsze na zimnym rachunku, z góry przewidziane i obmyślane, tak, aby wrażenie ich onieśmieliło lub olśniło słuchaczy; cel ten nigdy nie znika mu z oczu; to też chcąc mu zadość uczynić, wyzyskuje on nietylko innych, ale i siebie, wciąga do rachunku namiętności swe, wady i uniesienia, aby kosztem ich przyspieszyć budowę gmachu, któremu wszystkie poświęcił siły. Wpośród też różnorodnych zdolności, jakiemi obdarzyła go natura wyobraźnia twórcza najpierwsze zajmuje miejsce. Nawet techniczny język i zimne, sztywne rozporządzenia pierwszych występów na arenie politycznej — nie są wstanie ukryć namiętnego wrzenia tej siły potężnej, ukrywanej starannie na razie.

„Wierzaj pan“ — mówił do Roederer'a, — iż w sprawach wojskowych trudnoby znaleźć tchórzliwszego odemnie człowieka. Tworząc plan jakiś wpadam w taki niepokój, że powiększam dobrowolnie niebezpieczeństwa i wszelkie złe skutki, możliwe w danych okolicznościach“.

„Przejęty do głębi“ — twierdzi Bourienne, — „pogrąża się w przyszłem swem dziele z namiętnem drżeniem twórczem; siłą ducha zamieszkuje już z góry gmach, mający się wznieść dopiero“. — „Generale“ powiedziała mu raz pani de Clermont Tonnerre, — „budujesz pod osłoną rusztowań, pracę twą jednak ujrzymy wtedy dopiero, gdy ci się spodoba rusztowania te, jako zbyteczne jednym obalić zamachem“.

„Tak, masz pani najzupełniejszą słuszność“ — odparł szybko Bonaparte, — „żyję przyszłością, która o dwa lata może wyprzedza chwilę obecną“.

Odpowiedź ta, rzucona z niesłychaną żywością, była głosem duszy, dotkniętej w najczulszych fibrach, ugodzonej w samo jądro uczuć. W kierunku tym zresztą jest on niedościgniony; błyskawiczna rzutkość myśli, potęga jej i płodność — zdają się wszelkie przechodzić granice. Jeżeli jednak czyny, objęte zakresem ich, zdumieć muszą każdego, pamiętajmy, że projekty szersze jeszcze przybierały rozmiary, marzenia zaś w niedoścignione przyoblekały się kształty. Wyobraźnia iście poetycka prześcigała tu o wiele zdolności praktyczne, stawała się niewygodną nawet dla męża stanu; wielkość dosięga w jej świetle wymiarów olbrzymich, przeradzających się niekiedy w istne szaleństwo. We Włoszech jeszcze powiedział po 18. fructidor'a do Bourienne'a: „Europa to ledwo nędzna kretowina; na Wschodzie tylko, zaludnionym przez sześćset milionów ludzi, istnieć mogą wielkie mocarstwa i wielkie rewolucje“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PORADNIK DOMOWY.

Przeciw molom.

Niewielkie te owady czynią nieraz wielkie spustoszenia w naszych ubiorach, a osobliwie futrach. Dwa są ich rodzaje: jeden upodobał sobie tkaniny welniane (*Tinea sarcitella*), drugi specjalnie zajmuje się niszczeniem futer (*Tinea pellionella*). Nie same jednak motyle są szkodliwe dla naszej odzieży, ale i ich stan przejściowy z jajka — gąsienica, powszechnie liszką zwana Na początku lata mól kładzie jajka w futrach i odzieniu, z jajek tych rozwijają się gąsienice, nadzwyczaj żarłoczne, które spożywają futra i odzienie. To też cała usilność nasza przy niszczeniu móli powinna być skierowana na zabicie tych gąsienic, owady bowiem już rozwinięte nie są bynajmniej szkodliwe Do tego celu służą najrozmaitsze środki, podajemy tutaj najpewniejsze. Najpowszechniej używaną jest nafta i terpentyna. Odzież i futra, wyczesawszy starannie grzebieniem i wytrzepawszy na świeżem powietrzu. skrapiamy powyższemi substancjami i natychmiast zamykamy szczelnie kufer, w którym mamy zamiar je przechować. Lepiej jeszcze działa w tym kierunku skrapianie odzieży od czasu do czasu siarkiem węgla (*carbo sulphuratum*), jest to jednak nieprzyjemne ze względu na przykry zapach tego środka. Najlepszem byłoby połączenie sodu z siarkiem amonu, sól ta jednak u nas w handlu się nie znajduje Działa ona powolnie, ale pewno. W tym kierunku działa również dobrze naftalina. Przedewszystkiem atoli należy wyciąć z futer te miejsca, które naddarte zostały przez mole, są one bowiem kolebką dla nowych pokoleń Jest to możliwe choćby i z tego względu, że łatanie futer odbywa się bez śladu

Usuwanie opalenizny.

Jedną z największych trosk pięknych dam po powrocie ze wsi jest... opalenizna Na wsi, wobec piękności natury i licznych wiejskich rozrywek, zapominają one o swojej cerze i wystawiają się niejednokrotnie na działanie promieni słonecznych. Te ostatnie są o tyle niedelikatne, że opalają jednakowo twarze niedbających o cerę, jak i dbałych o jej przejrzystość lwowianek. To też wywołana przez ich działanie opalenizna jest nie raz przyczyną trosk i prób rozmaitych, przedsiębranych w celu usunięcia śladów po spędzonych na wsi wakacjach. Podajemy przeto środek, od dawna używany z nader pomyślnemi wynikami. Łut boraksu rozpuszczamy w funcie wody przegotowanej lub różanej, do powyższego roztworu dodajemy 4 luty otrębów migdałowych (*furfur amygdalarum*), 10 łutów nalewki benzoesowej (*tinctura benzoes*), oraz dwa ubite żółtka Płyn silnie mieszamy i odstawiamy na pół godziny, po upływie tego czasu dolewamy go do dwóch funtów wody ogórkowej lub serwatki. Tak przygotowanym płynem zmywamy twarz i ręce przed udaniem się na spoczynek, następnego zaś dnia rano używamy do umycia tylko wody letniej. Płyn powyższy nietylko usuwa opaleniznę, ale nadto wydelikatnia skórę, czyniąc ją białą i miękką. Zamiast powyższej mięszaniny, której przygotowanie wymaga dużo czasu, radzą używać tylko wody ogórkowej, przygotowanej w sposób następujący. Obrane ogórki rozcieramy na miazgę, którą pozostawiamy na trzy dni w cieplem miejscu; po upływie tego czasu miazgę tę wyżymamy przez płótno i do przecedzonego płynu dodajemy równą objętość wody przegotowanej.

Jakie są znaki dobrej gliny na cegłę.

Im mniej znajduje się w glinie obcych części, tem ona jest lepszą. Obecność w glinie węglanu wapna daje się rozpoznać za pomocą kwasów, których działanie towarzyszy burzeniu się i syczeniu występującego ze związku kwasu węglowego. Wapno zawsze szkodliwe jest w cegle, gdyż przez wypalenie nabiera ono własności przyciągania wilgoci, przez co cegła staje się kruchą, a szczególniej zimową porą, gdy wilgoć ta w cegle zamarza i takową rozpycha. Jeżeli obok wapna dużo jest w glinie piasku, wtedy cegła łatwo się rozpływa, co jest bardzo niedogodne przy wypalaniu. Do takiej więc gliny, zawierającej dużo wapna, należy jak najmniej dodawać piasku. Czwarta jego część już bywa zawiele. Przydatek jakichkolwiek soli, choćby w małej ilości sprawia to, iż cegła przyciąga wilgoć i staje się kruchą. Dlatego to glina, brana z powierzchni gruntu, wiele zawierająca cząstek solnych, pod względem dobroci zawsze ustępuje glinie, dobywanej z głębi ziemi Przydający się do gliny na cegłę piasek powinien być raczej gruby niż miałki, bo pierwszy czyni cegłę ściślejszą. Dodawać trzeba taki piasek, który miewa w sobie jaknajmniej części wapiennych. Żelazo, znajdujące się w glinie, cegle nie szkodzi. Cegły nie powinny tracić formy przez wypalanie, nie powinny się ani kurczyć, ani pękać. Im wyraźniej pokazują się w glinie te ujemności, tem więcej potrzeba mieszać do niej grubego piasku. Wielu kopie glinę w jesieni, aby skruszała przez zimę. Nastąpi to wtedy tylko, gdy się w niej znajduje wapno i gdy go mróz przejmie. Lepiej jest jednak drobno glinę kopać i za świeża ją zaraz starannie przerobić Suszenie cegły jest bardzo ważną rzeczą Im wolniej się odbywa i dłużej się ciągnie, tem lepsza będzie cegła. Najodpowiedniejszym do suszenia jest czas wiosenny lub jesienny. Wielkie upały są niekorzystne, gdyż cegła prędko zasycha po wierzchu, a wewnątrz pozostaje wilgotną Lepiej jest suszyć cegłę pod dachem, zakrytą od słońca i deszczu, aniżeli pod otwartem niebem. Dostateczne wypalenie cegły poznaje się po jej dźwięku, podobnym do dźwięku szkła i po jej spójności i lekkości. Cegła, pokryta na zewnątrz niby polewą, jest najlepszą i najodpowiedniejszą na dachówki ze względu swojej wytrwałości na zmiany powietrza.

Łamigłówka.

(Pani Bożemskiej ze Stanisławowa).

Prostokąt głoskowy.

a	a	a	a	e	g	ł	ł	m	o	p	r	t	w	z
a	a	a	a	a	d	e	e	g	k	l	n	r	s	t
a	a	e	e	e	l	l	n	n	o	o	r	t	w	y
a	a	a	a	e	e	j	m	m	l	n	n	n	r	u
a	a	a	c	e	i	i	l	l	ł	m	s	s	u	w
a	a	a	b	d	e	i	j	ł	m	n	o	r	t	w
a	a	a	b	b	c	e	e	l	n	s	r	r	t	y
a	a	a	e	g	i	k	l	n	o	r	r	w	z	y
a	a	c	d	e	g	i	i	j	n	n	o	t	w	y
a	a	a	e	e	i	m	m	n	r	s	t	u	z	z
a	a	a	a	e	e	j	j	l	l	n	r	r	w	w
a	e	d	g	i	i	l	ł	m	o	o	r	w	z	z
a	a	a	c	d	e	g	j	k	n	n	o	r	s	t
a	e	f	g	i	m	n	n	r	t	u	z	z	y	y

Głoski w każdym szeregu poziomym należycie uporządkowane tworzą dwa imiona, jedno męzkie i żeńskie, Prostokąt składa się przeto z 28 imion. Środkowe głoski prostokątu dają imię i nazwisko wielkiego poety.

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **Lama „Humoreski“**

Rozwiązanie zadania djamentowego z Nr. 14.

A
R **E** J
B R **O** D Y
T E O **D** O R A
A E O D Y N I E C
D A R **N** L E Y
E L **I** Z A
T **E** L
C

A. E. Odyniec

Rozwiązanie zadania konikowego z Nru 14.

Powraca już wiosna, śnieg taje i lód,
I żyje i rośnie twór ziemi i wód.
Gdzie tchnienie jej wionie, gdzie padnie jej ślad,
Tam ptaszek zanuci, roześmieje się kwiat.
Toż witaj nam luba!

Trafne rozwiązania obu zadań nadesłali: P. Wanda Kopacz ze Stanisławowa, p. M. Bernacka z Krakowa. Zadania konikowego p. Aleksander Godel i p. Zygmunt Smolka.

Nagrodę otrzymała p. Marja Bernacka.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz. Zarządca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.